Rozmaitości

Dnia 25. Maja | Nr 21. | 1830 Roku.

ZNAMIĘ
MACIERZYSTE.
Obraz wojny z r. 1813.

(Ciąg dalszy.)

Młoda gwardyja uciekając obejrzała się i z zadumieniem postrzegła tę niesłychaną pogardę śmierci. Zawstydzona swą lękliwością stanęła jak wryta. Oficérowie korzystali z téj chwili, uczucie honoru wzięło przewagę; młoda gwardyja zrobiła prawą w tył i zajęła znowu opuszczony szaniec, który teraz już nie tak mocno narażony był na ogień, w inną stronę skierowany z działobitni nieprzyjacielskiéj.

Po niejakiéj chwili przyleciał służbowy oficer z udzieleniem niektórych rozkazów dla oficera gwardyi. Poczém wyjąwszy z pugilaresu kartkę, zaczął wymawiać po jednéj głosce, i kaleczyć francuzkim językiem nazwę niemiecką. Nakoniec wyrzekł: »Fryderyk Dornfeld wystąp!«

Młody Niemiec sprezentowawszy broń wystąpił z szeregu.

Służbowy oficer ogorzały od słońca, z potężnym wąsem, spojrzał szyderską miną na białą twarz młodego Niemca. »Tyżeśto był jednym z tych trzech zapamiętałych młodzieńców, którzy aż do nadejścia odsieczy szańcu bronili?« zapytał pokaleczoną niemieczczyzną.

Na to zapytanie zamiast Niemca odpowiedział sierżant z przeklęstwem, w sposób potwierdzający.

»Waleczny z ciebie żołniérz,« rzekł oficer do Fryderyka. »Pójdź ze mną! Cesarz chce z tobą mówić.«

Na to wezwanie młody Niemiec nie był przygotowanym. Potykać się z nieprzyjacielem nie zbywało mu na odwadze, przed chwilą złożył tego dowody. Ale stanąć przed wielkim Napoleonem, spojrzéć mu w to ciemne oko, z którego dzieje świata przemawiały, tak wielkiéj nie czuł w sobie odwagi. Zbladł cokolwiek na twarzy, i broń zadrżała mu w ręku.

»Naprzód!« szepnął mu sierżant do ucha, i popchnął go kułakiem w plecy.

Frydéryk nabrał odwagi, i wziąwszy broń na ramię, poszedł za oficérem, przedzierając się przez rumowisko, poległe trupy i potrzaskane palisady. Śród téj niebezpiecznéj przeprawy nieprzyjacielskie kule sycząc jak rozsrożone węże gwizdały w około jego głowy. Jednak nieuszkodzony przybył do rogatek Pirnawskich.

Tam ujrzał Napoleona. Murat, który z wieży Krzyżowéj rozpoznał stanowisko nieprzyjaciela, stojąc obok niego, zdawał raport. Cesarz odwinąwszy w tył rękę, w któréj między palcami obracał dalowid, słuchał go uważnie, lecz z obojętną miną. Potém przemówił słów kilka do adjutantów i powiódłszy wzrokiem w okolo siebie, spojrzał na Fryderyka.

»Sire, oto jest jeden z tych trzech gwardzistów, którzy bronili szańcu, aż pokąd odsieczy im nie dano,« rzekł oficér salutując go szablą.

Cesarz przystąpiwszy do Frydéryka, z wrażeniem trwogi wlepił w niego swe oko, tak mocno, iż ten widząc się tak blizko tego wielkiego monarchy, stanął jak krew czerwony. »Dobrześ się trzymał w piérwszéj bitwie,« rzekł spieszno i bez przycisku, tak

iż się zdawało, jak gdyby odczytywał swą mowę. »Dobra nadzieja na przyszłość. Tak należy. Szaniec był wielkiéj wagi. Dobrze się stało, że go do ostatniéj chwili trzymano, przezto przeszkodzono Prusakom ustawić się w szyku bojowym, i odsiecz łatwiejszą miała pracę. Oszczędziło się przezto wiele ludzi. Dobrześ się sprawił!... Po bitwie przedstawić mi znowu tego człowieka. Zobaczę, co dla niego uczynić będzie można.« To rzekłszy odwrócił się, i dosiadłszy siwosza, wolnym kłusem ku rogatkom się puścił, a za nim »*Vive l'Empereur!*« zagrzmiało.

Frydéryk osłupiał i patrzył za zjawieniem, które jak złuda snu pośród mgły dżdżystego dnia zniknęło. Nie opamiętał się, aż po chwili. Ale wtedy w sercu jego przebudziły się radość i duma: iż będąc jeszcze prawie rekrutem, już w piérwszéj bitwie umiał sobie zjednać względy wielkiego wodza. Już marzył o marszałkowskiéj buławie i o tych wszystkich zaszczytnych stopniach, na które ów od wszystkich podziwiany, swojemi olbrzymiemi ramiony tak wielu walecznych z prochu nicestwa podniósł.

W tém na rogatki wpadło kilku szaserów, z rozkazem, aby jeden batalijon młodéj gwardyi wyruszył natychmiast do odebrania szańcu koło Moszyńskiego ogrodu, który nieprzyjaciel wojskiem swém osadził.

Z pośpiechem stanął Frydéryk w formującym się z niedobitków szeregu i podwójnym krokiem udał się w pochód za rogatki. Sądził, iż każdy krok téj chwili prowadzi go bliżéj do szczytu, na którym los postawić go przeznaczył.

W tém miejscu nie lepiéj się wiodło niż wprzódy. Sprzymierzeńcy zdobywszy szaniec, w pień wycięli całą załogę. Bateryja francuzka, ziejąca z po za murów Moszyńskiego ogrodu na szaniec straszny ogień, sprawiała pomiędzy zwycięzcami wielkie spustoszenie; jednakże odbiéranie tego szańcu połączone było z trudnością, zwłaszcza, iż gwardyja uskuteczniając to, koniecznie na ogień swoich towarzyszy narazić się musiała. Jednakże pomimo to niebezpieczeństwo musiano iść naprzód. Konna żandarmeryja parła tylne szeregi młodéj gwardyi i płazując szablami, pędziła opiérających się do ataku. Czoło batalijonu na kształt zelaznego klinu wbiło się przemocą w szaniec, którego z zaciętością broniono. Pod potężnym zamachem kolb rozlatywały się kołpaki i czapki grenadyjerskie; krew i mózg bryzgały okropnie na wszystkie strony. Oddział złożony niemal z pięciudziesiąt młodych gwardzistów wdarł się szczęśliwie do okopu i licząc na posuwających się swych towarzyszy, z zapamiętałą zaciekłością potykał się z przemożniejszym nieprzyjacielem. Gdy oto hufiec nieprzyjacielskiéj jazdy, podstąpiwszy z drugiéj strony po pod mury ogrodu, wcisnął się niespodzianie we środek, i odciął ich od reszty batalijonu.

Okropnym był stan tych pięciudziesiąt gwardzistów wewnątrz szańcu, pośród których i Frydéryk się znajdował. Napadnieci z tyłu i z przodu od nierównie silniejszego nieprzyjaciela, już prawie nieuchronną zgubę swoję widzieli. Spodziéwając się, że do nich przebiją się ich towarzysze, stawili przez niejaki czas odpór zacięty. Lecz postrzegłszy, że są opuszczonymi, większa część z nich straciła odwagę i do poddania się skłaniała. Tu obie strony, jakby przez milczącą umowę od morderstwa się wstrzymały; oficér nieprzyjacielski, korzystając z tego wypadku, wystąpił z wezwaniem, ażeby broń złożono. Gdy się to dzieje, z pośrodku uszczuplonéj garstki Francuzów wyskakuje brodaty, i jak Cyklop rozczochrany dobosz naczelny, i wrzasnąwszy przerażającym głosem: »Gwardyja nigdy się nie poddaje!« w okamgnienin podnosi ogromną, złotemi sznurami oplecioną lagę, i z taką siłą godzi dużą pozłacaną gałką w twarz nieprzyjacielskiego oficera, że ten natychmiast trupem na ziemię pada.

Niespodziana śmiałość ta stała się hasłem do odnowienia mordu i rzezi. Pierś o pierś, mąż o męża, bo szczupła przestrzeń nie dozwalała uderzyć w massie, szli w zapasy z sobą na wzajem; w okropnym tym natłoku więcéj była pięść, niżeli broń pomocną. Frydéryk ogłuszony hukiem bateryi ogrodowéj, która zaledwo o dwadzieścia kroków była od niego oddaloną, i przyduszony kłębami dymu, prawie po omacku potykał się jak lew rozżarty. Bagnet jego przeszył széroką pierś nieprzyjacielskiego grenadyjera, który na naczelnego dobosza śmiertelny cios

wymierzył, i w tym samym czasie lewą pięścią ugodził drugiego wąsatego grenadyjera, który go za kark schwycić usiłował.

Byłto dziki obraz morderstwa, bardziéj do bójki, niźli do utarczki podobny. A przecież każde tchnienie krwią i życiem okupywać było potrzeba. Trupy leżały kupami, tak, iż pozostali jedni drugich dosięgnąć nie mogli. Aż oto nagle rozrzedziły się ścieśnione i zmieszane ze sobą grupy. Oddział szaserów francuzkich uderzywszy nagle na jazdę nieprzyjacielską, która idący do szturmu batalijon odcięła, zmusił ją do odwrotu. Otworzono i oczyszczono drogę; gwardyja przybyła w pomoc ścieśnionym swym towarzyszom.

Przez zręczny obrót wystawiony był nieprzyjaciel na rzęsisty ogień działobitni francuzkiéj, i w dzikiém zamieszaniu ustąpił z pola. Jazda ścigała go aż do stanowiska, na którém były zatoczone rossyjskie działa. Odebrano znowu szaniec, chociaż z niemałym krwié rozlewem.

Fryderyk pchnięty bagnetem w lewe ramię i z skaleczoną od szabel głową, w porównaniu do krwawéj walki, zbliżał się z niewielką szkodą do ołtarza zwycięztwa.

Minął piérwszy dzień bitwy, i niknąc z wolna po za mogiły trupów, usnął ukołysany hukiem dział, które z nadchodzącą nocą zamilkły.

Podobnie jak poprzednik jego zasnął był pośród chrzęstu oręża, tak pośród szczęku broni posępnie, dżdżysto i pochmurno obudził się ze snu dzień nowy. Słaby, drzymiący, poranny promień jego, zwolna tylko gasił blask niezliczonych ogni, które na wszystkich wzgórzach w około Drezna płonęły. Niecierpliwy duch wojny spiesznym krokiem wyprzedził dzień leniwy; już o szóstéj zrania rozpaliła się nowa bitwa. Miasto Drezno ożywione było dzisiaj większą odwagą; mając w swoich murach stotysięcy Francuzów, którzy już dnia wczorajszego oczewiste odnieśli korzyści, nie lękało się już, aby szturmem było zdobyte. Sprzymierzeńcom utrudzonym ciągłą ulewą, nie pozostawało nic innego, jak tylko wywalczyć sobie odwrót zaszczytny. Centrum ich nie było jeszcze złamane, lecz obadwa skrzydła mocno wstrząśnione i osłabione. Napoleona zamiarem było rozwinąć skrzydła swojego wojska, wyparować sprzymierzonych z niezdobytego ich stanowiska, ścisnąć ich centrum, i odciąwszy im najlepsze gościńce ku Pirnawie i Frejbergu, zmusić ich do odwrotu przez dipoldiswaldawski gościniec, który przez ciągłe ulewy zupełnie był popsuty. Dla pokrycia swojego planu kazał pozornie nacierać na ich centrum, na które największe jego massy i liczna artyleryja biły. Przez rzęsisty dészcz, który lał bez ustanku, niepodobna było dostrzedz zdala stanowiska nieprzyjaciela. Wojsko pod dowództwem marszałków Marmonta i Wiktora wyruszyło do linii bojowéj. Około ósméj godziny zrana uderzono na środek sprzymierzonych, których linija od Leibnicu aż do włości Plauen się rozciągała. Okropnie zaczęły ryczéć działa. Artyleryja austryjacka zaczęła przerzedzać swoim ogniem francuzkie batalijony, które prócz tego na tłustym i grząskim gruncie zaledwo się na nogach utrzymać mogły. Trzydzieści i sześć tysięcy Francuzów stało w odwodzie pomiędzy rogatkami Falken i gościńcem ku Dipoldiswałdowi prowadzącym. Sto dział artyleryi gwardyi francuzkiéj ziało nieustanny ogień na wzgórza.

Do posługi działobitni w ogrodzie Moszyńskiego wzniesionéj, przyłączyło się kilku saskich i francuzkich żołniérzy. Pomiędzy tymi znajdował się znany nam sierżant, który dla odniesionych kilku lekkich ran, do głównego ataku należéć nie mógł. Wziął on z sobą także ranionego Fryderyka, którego od czasu ostatniéj walki niejakim protektorem się zrobił; a ponieważ obadwaj nie mogli być czynnymi, stanąwszy więc u strzelniczego okna nie zajętego przez działo, poglądali w otwarte pole na ścierające się massy, i rozmawiali z sobą na przemiany to niemieczczyzną, to francuzczyzną pokaleczoną; gdyż każdy z nich dla niejakiéj próżności narzeczem drugiego się wyrażał. Pośród mgły i słoty przedstawiała się bitwa tylko w słabych niepewnych zarysach. Pomykające się kolumny podobne były do nocnych cieni, i tylko grzmoty dział oznajmiały straszliwą rzeczywistość. Przed okopami rozstawione były w niejakich przedziałach francuzkie czaty. Chaszczem, dymem i mgłą

zasłonieni kozacy wypadali od czasu do czasu z zasadzek, krzycząc: »Koli, koli Francuza!« i schyliwszy swoje kudłate brody niżéj siodła długiemi pikami dźgali przeciwnika. Pchnięcie ich było tak gwałtowne, iż dla wyrwania dzidy z przeszytego nieprzyjaciela, wprzódy go podnieść i o ziemię nim cisnąć musieli. Po uskutecznieniu zamiaru swego lotem błyskawicy znikali. Jednakże nie jednego z nich dosięgły kule francuzkie, i tak ostro ugodziły, że koń z jeźdzcem razem związani po ziemi się tarzali. Nieraz, jeżeli rana była lekka, nim jeszcze Francuzi dolecieć mogli, zrywali się z największym pośpiechem i wywijając szydersko czapkami, z placu znikali. Jednakże biada temu, którego unieść nie mógł koń skaleczony. Nieustannemi zaczepkami rozsrożeni Francuzi przeszywali go bronią i pastwili się nad jego ciałem.

Stojąc i przypatrując się takiemu widokowi rzekł nareszcie sierżant do Fryderyka: »Powiédz mi też, młody mój przyjacielu, który wczoraj lubo po raz piérwszy proch wąchałeś, a jednak jak mały diabeł gromiłeś nieprzyjaciela, zkąd jesteś, czém są twoi rodzice, i gdzieś się bronią robić nauczył?«

»Nie warto o tém wspominać *monsieur Etienne*,« odrzekł Fryderyk; »wypadki życia mego są tak powszedne, iż się mocno obawiam, abym cię niemi nie znudził.«

»A, gdzie tam, przyjacielu. Dla odważnego żołniérza nié masz większéj nudoty, jak gdy przymuszony jest nosić ramię na temblaku i ukrywać się za palisadami, podczas gdy jego towarzysze żwawo walcząc w obec swego cesarza, biją nieprzyjaciela. Dla tego mów, może opowiadaniem swojém rozprószysz moje zmartwienie.«

»Jeżeli żądasz tego koniecznie, niech i tak będzie,« odrzekł Fryderyk i obwinąwszy się swoim płaszczem, usiadł przy panu Etienne na murawie, i jakbyto już stary żołniérz, muskając od czasu do czasu po miękkim mchu swych wąsów, tak mówić zaczął:

»*Monsieur Etienne*, urodziłem się w Moguncyi, jestto piękne miasto. Ojciec mój był majętnym obywatelem. Chciał mnie po swojemu wychować. Nié miałem do tego ochoty, ale nie wiedziałem do czego się mam zabrać; a przecież trzeba się było raz namyśléć. Wojskowe życie, które pomiędzy nami coraz większą zachętę obudzało, blask nowego Westfalskiego Królestwa, które prawie uderzeniem czarodziejskiéj rószczki z niczego powstawszy, w swój środek nas wciągnęło, wszystkoto zaślepiło mnie do tego stopnia, że już o niczém więcéj, jak tylko o bitwach i wojennéj sławie marzyłem. Dowiedziałem się także, że Napoleon większą część swych bohaterów z zapomnienia wydobywszy, każdemu, w którego piersiach bije waleczne serce, uczestnikiem swojej nieśmiertelności być dozwolił. Uczuwszy coś podobnego i w sobie, zacząłem wierzyć w przeczucie, że i dla mnie nadzwyczajny zawód jest przeznaczony. Dla czegoż nie miałbym i ja być kiedyś naczelnikiem, marszałkiem albo księciem? Dla czegoż nie miałbym być ozdobiony wielkim krzyżem legii honorowéj, gdy tak wielu, którzy będąc ze mną równego rodu, pałając nieustraszoną odwagą, męzką siłą i żądzą sławy, dostąpiło tego zaszczytu? Uśmiéchasz się *monsieur Etienne*, być może, iż słuszne do tego masz powody. Lecz rozważ, że ja dopiéro dwudziesty piérwszy rok liczę, a mnie się zdaje, iż w tym wieku jeszcze się znakomitéj oficérskiéj rangi dosłużyć można. Jakoż już dawniéj byłbym wstąpił w ten zawód, i nie miałem wielkiéj przeszkody, gdyż ojciec mój, który zawsze mojemu życzeniu się sprzeciwiał, nie długo potém z tym światem się pożegnał. Ale wtedy mi inna przeszkoda na zawadzie stanęła, a nią była — miłość.«

Pan Etienne usłyszawszy to, zmarszczył czoło. »Ej, mości marszałku,« rzekł z uśmiéchem; »kto się przed zaczęciem swojego wojennego zawodu w ładnych oczach zaślepi, trudno aby zadość uczynił wszystkim swym powinnościom, zwłaszcza, jeżeli nie najskromniejsze uprządł sobie nadzieje. Najprzód, moj młody przyjacielu, należy pracować dla cesarza, Francyi i honoru, a gdy tym wszystkim jak najlepiéj się zasłużymy, wtedy nam przy wydarzonéj sposobności i zakochać się wolno.«

»Nie przeczę, żem zasłużył na to szyderstwo, *monsieur Etienne*,« odrzekł Fryderyk zarumieniony. »Ale gdybyś widział moję Helenkę, inaczéjbyś mówił w téj chwili. Ach! ona była tak piękną, tak łagodną i jak anioł niewinną; kochała mnie nad swoje

życie, chociaż nieraz, gdy się dumne w duszy mojéj obudzały marzenia, martwiłem ją moją wyniosłością. »Pożałujesz ty tego, mój Frydéryku,« mówiła do mnie, »że za próżną uganiasz marą, a zaniedbujesz swéj Heleny. Poznasz w czasie, iż żadna sława, żadne bogactwo świata, kochającego serca wynagrodzić nie zdoła.« Ja śmiałem się z téj mowy i byłem tego przekonania, że niejedna jest na świecie dziewczyna, ale tylko jeden cesarz Napoleon i czas, w którym odwagą i walecznością bogactwa i wielkiego zaszczytu dostąpić można. A niezawodną jest rzeczą, że dla mnie wielki zaszczyt jest przeznaczony. Smiéj się *monsieur Etienne* z tego zdania, ale ono głeboko tkwi w mém sercu, i nikt go ztamtąd wykorzenić nie zdoła. Nie jedna wróżka mój los mi przepowiadała; prawda, iż prawie każda z nich wiedziała naprzód życzenie moje, i zato też podwójną dawałem im nagrodę. Ale ja mam jeszcze inną rękojmię, która mi na przyszłość wielki zaszczyt zapewnia, i tę rękojmię razem z sobą na świat przyniosłem.« To rzekłszy Frydéryk zakasał rękaw i pokazał sierżantowi lewe ramię. »*Monsieur Etienne*, przypatrz się téż dokładnie temu macierzystemu znamieniu; cóż powiesz na to?«

»Nie mogę dokładnie rozeznać tego znaku,« odrzekł sierżant poglądając na ramię Frydéryka. »Dym z prochu tak mocno wygryzł moje oczy, iż się mi zdaje, jak gdyby siatka była rozpostarta przed niemi. Jeżeli się nie mylę, znamię to wygląda jak dwie krysy, które na krzyż się przecinają.«

»A gdzie tam, *monsieur Etienne*, jak widzę, bardzo osłabione masz oczy. Inaczéj byłbyś poznał do razu, że to są dwa na krzyż złożone miecze. Powiadają, iż waleczny jenerał Pappenhaim miał podobne znamię na swojém czole, i został wielkim mężem, aż pokąd na szczycie sławy szwedzkie kule go nie dosięgły. Otóż to znamię tak wielką mi daje otuchę. Helena nie raz się nato dąsała mówiąc, iż się nie uspokoi, aż pokąd to nieszczęsne znamię nie zniknie, które uwodząc mnie złudną nadzieją, do mordu i krwie rozlewu serce moje podżega. Słowem, znamię to wzbudziło we mnie tak wielkie zaufanie, żem był zupełnie tego przekonania, iż w wojennym zawodzie nadzwyczajne szczęście mnie czeka. I gdym sobie wszystko to żywo w mojéj myśli przedstawił, wtedy złorzeczyłem sobie samemu, iż będąc do tak wielkich czynów wybranym, zamiast gromić nieprzyjaciela, jak nikczemnik za piecem siedzę i z Helenką się pieszczę. W takiéj chwili uniesiony gniewem i zapałem nieraz wyrwawszy się z ramion mojéj kochanki, chciałem opuścić ją i zaciągnąć się do wojska francuzkiego. Ale gdy spojrzała na mnie Helenka i z zapłakanemi oczyma prosić zaczęła, abym jéj nie opuszczał, a brunatny Karo, jak gdyby rozumiejąc moje słowa, zaskomlił żałośnie i zastąpił mi drogę; wtedy wszelka chęć mnie odpadła, wtedy usiadłem znowu przy Helence i rzekłem: Ej po co mnie tam! Cesarz ma dosyć ludzi, których na marszałków i książąt wynieść może, a zatém na takich jak ja niekoniecznie zbywać mu będzie. Takim sposobem zostałem znowu w domu i zapomniawszy o marszałkowskiéj buławie i krzyżu legii honorowéj całowałem tkliwą Helenę i głaskałem dobrego Karo.«

»Cóżto był za jeden ten pan Kora czyli Karo, jak go nazywasz?« zapytał sierżant nawiasem.

»Ha, ha, ha! Zapomniałem powiedzieć o tém wćpanu,« odrzekł Frydéryk śmiejąc się głośno. »Karo nie był ani panem, ani człowiekiem nawet, chociaż był moim wiernym przyjacielem; byłto pies, *monsieur Etienne*, ale pies jakiego trudno znaleźć na świecie.«

»Nié masz w tém nic dziwnego,« odezwał się sierżant z uśmiéchem, »wiadomo powszechnie, że każda liszka swój ogón chwali. Zapytaj wszystkich kirasyjerów armii wielkiéj, a każdy ci powié, że jego koń nié ma sobie równego.«

»Zaręczam słowem honoru *monsieur Etienne*, iż ten pies rozumem i przywiązaniem swojém zawstydzić mógł nie jednego człowieka. Pewnego razu, pamiętam jak dziś, miałem wtedy lat pietnaście, a Karo był nierównie młodszy, że gdym się kąpał w Renie, schwycił mnie kurcz tak mocny, iż gdyby Karo nie wyciągnął mnie był z wody, byłbym się niezawodnie utopił. Od tego czasu miał się Karo widocznie z niejakiém uczuciem dumy i przewagi za mojego opiekuna. Pieszcząc i igrając obchodził się ze mną jak z powierzoném sobie dzieckiem, i zdawało się,

iż był uprzedzony o swym rozumie, z tego powodu nie raz prawie do gniewu mnie pobudzał. Idąc ze mną razem nigdy mi już nie dał przybliżyć się do wody. Ile razy mi przyszło iść ku rzéce, Haro zaczynał szczekać tak uporczywie, i tak zwinnie zaskakiwał mi drogę, iż mu każdą razą z gniewem i śmiéchem ustąpić musiałem. Prawda, iż czasem oburzyło mnie przewodzenie tego czworonożnego guwernera i nieraz zato go kijem witałem. Haro znosił to wszystko cierpliwie; ale w całém obchodzeniu się jego widać było potém niejaki rodzaj obrażonéj dumy, podobnie jak w wiernym słudze, którego niesprawiedliwie skrzywdzono, tak dalece, iż ja w obecności jego częstokroć uczynku mojego wstydzić się musiałem, i kontent byłem, gdy głaskaniem albo jakim smacznym datkiem uspokoić go mógłem. Z Helenką zostawał on w ścisłém porozumieniu, bo ilekroć mówiłem, że zostanę żołniérzem, a Helena się rozpłakała, wtedy zaraz Haro warczyć zaczynał; a gdym się wyjść z izby zabiérał, wtedy Haro poziérając na mnie z niespokojnością, stawał mi w drodze i skomląc do drzwi mnie nie puszczał. W chwili zaś, gdy miłość moja do Helenki nad moim bohatérskim zapałem zwycięztwo odniosła, gdy kochanka moja otarłszy łzy, znowu się uśmiéchnęła i rzekła: »Więc zostaniesz przy nas Fryderyku?« wtedy i stary Haro był zaraz znowu weselszy i skoczywszy ode drzwi, których wprzódy z takiém niedowierzaniem pilnował, zaczął w około mnie biegać i radość swoję okazywać. Krótko mówiąc, Helena i Haro nie dali mnie wstąpić w zawód wojskowy. Lecz wkrótce nadeszła chwila, w której mnie daremnie wstrzymywać się starali, i w któréj to, co wprzódy dobrowolnie uczynić chciałem, teraz koniecznie uczynić byłem przymuszony. Dumne wojsko, które orzeł Napoleona w lodowate stepy rossyjskie wyprowadził, legło dotknięte żelazną ręką przeznaczenia. Z tą samą zaciętością, jaką w życiu waleczni wojownicy ozionieni nadzwyczajném zimnem Północy okazywali, leżały teraz ich mumije skośniałe. A z większą jeszcze zaciętością niż żywi i polegli, dumny uchodźca nie chciał zawrzéć pokoju. Celem utworzenia nowéj armii zaciągał nawet niedorosłą młodzież do wojska; całą przyszłą jeneracyję zaprzedał naprzód niepowściągliwemu duchowi bitew, któremu nie tylko krew własną, ale i krew tylu tysięcy niezłamanym cérografem zapisał. Wtedyto i na mnie kolój przyszła. Nie wiedziałem, czyli się mam cieszyć, czyli martwić z tego wypadku. W Moguncyi organizowano młodą gwardyję. Młodzieńcy, a nawet niedorostki musieli się stawić na odgłos bębna. Chcąc niechąc i ja pójść musiałem. Z boleścią patrzyła na mnie matka, a Helenka płakała. Poczciwy Haro zwiesił głowę, lizał moje ręce, a potém jak gdyby przekonany o nieodzownéj potrzebie, ulegając smutnemu przeznaczeniu, milczkiem skrył się w kącie pokoju. Nie umieliśmy nawet wziąć do ręki karabiny, a ile razy nam przyszło obrót zrobić, wtedy jak kolce zwiniętego jéża sciérały się bagnety nasze. A jednak już na drugi dzień w pochód iść musieliśmy. Tym sposobem dostałem się w to miejsce, i na tém, *monsieur Etienne*, kończy się teraz historyja mojego życia. Widzisz sam, że jest bardzo prosta i zwyczajna. Ale mnie się zawsze zdaje, iż ze mnie coś wielkiego będzie, a od tego czasu, jak do mnie césarz przemówił, jestem prawie pewien, że moje przeczucia spełnionemi zostaną. W nocy myślę o mojéj matce, o błogosławieństwie, które mi na drogę dała, o Helence, jéj żalu nieutulonym, a nakoniec o poczciwym Haro. Ale w dzień wszystkie myśli moje wojsku i mojéj nadziei przynależą!«

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Dzieła umniczo-opisowego *Galicyja w obrazach* zeszyt XI. zawiera: 1) Dąbrowa, miasteczko w obwodzie tarnowskim; 2) Kalwaryja Zebrzydowska, w obw. wadowickim; 3) Czchów, miasteczko w obw. bocheńskim; 4) Kościoł w Kobylance, w obw. jasielskim. Zeszyt XII. 1) Morskie Oko, w Tatrach obwodu sandeckiego; 2) Droga do Morskiego-Oka w dolinie Białki, w tymże obwodzie; 3) Biecz, miasteczko w obw. jasielskim; 4) Zarzécze, piękna włość w obw. przemyskim. Oprócz ostatniego widoku reszta wszystkie tych dwóch zeszytów są roboty naszego w tylu zawodach czynnego Adama Gorczyńskiego. Na tem kończy się wydanie pierwszego roku dzieła: *Galeryja litografowanych widoków, okolic i najznakomitszych zabytków w Galicyi.* Gorliwy i zasłużony onegoż wydawca Piotr Piller, zapowiada nam dalsze prowadzenie tego dzieła dopiero r. 1840, umyśliwszy tegorocznego lata użyć do malowniczej podróży w niezwidzone dotąd okolice naszego kraju, by ich widokami ten piękny zbiór powiększyć. Oby znalazł

wynagrodzenie za swoje usiłowania, jak już wdzięczność miłośników rzeczy krajowych pozyskał! S. J.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego Ad. Kasperowskiego wyszedł Nr. 20. i obejmuje: 1) O uprawie lnu. 2) O kwiatach gruntowych (ciąg dalszy). 3) Żeby ogórki były smaczne. 4) Nowy środek do prania wełny. 5) Sposób robienia sztucznego kamienia. 6) Rozmaitości gospodarskie. 7) Wiośniana kuracyja koni. 8) Książka gotowa za trzy minuty.

Zapowiedziana nakładem Ernesta Günthera w Lesznie: *Mała encyklopedyja polska*, zaczęła już wychodzić, i pierwszy zeszyt od litery *Aa* do *Cha* prasę opuścił.

Pan Słowaczyński, o którego *Statistique générale de la Pologne* wspomnieliśmy w swoim czasie, wydał nie dawno drugi tomik dzieła tego, obejmujący: *La description du Grand-duché de Posen et de la Prusse polonaise.*

W kwietniowym zeszycie pisma niemieckiego: *Das Ausland*, jest krótki artykuł: »O Rusinach w Galicyi i w Węgrzech.« — W Nr. 55. pisma *Zeitung für die elegante Welt* czytamy artykuł o literaturze polskiéj, a mianowicie o Sewerynie Goszczyńskim. Autor zachęca Niemców do poświęcania się literaturze polskiej, jako dawniejszéj i ważniejszej niż inne sławiańskie, którym się n. p. Varnhagen, Koenig i inni uczeni filologowie niemieccy tak gorliwie oddają.

Bajaderki w Frankforcie. Dziennik frankfortski donosi o Bajaderkach, co następuje: »Widok Indyjanek nizkiego wzrostu i tańców ich poświadczających o nadzwyczajnéj zwinności, był ze wszech miar bardzo ciekawy, ale nie zawierał w sobie nic przyjemnego, chociaż szarlatani francuzcy rozwodząc się szumnemi pochwałami, o piękności jego przekonać nas usiłowali. Taniec gołębi, w którym Indyjanka prawie przez kwadrans w kółko się kręci, jest podziwienia godny, ale wrażenie jego, podobne jest do wrażenia, jakie sprawia człowiek mający Ś-go Wita chorobę. O towarzyszeniu muzyki ich nie nadmienimy ani słowa! błogo temu, kto jéj nie słyszał!«

Niektóre wiadomości o Chinach. Pewne pismo angielskie, prócz wielu obszérnych wiadomości o Chinach, zawiera także następujące doniesienie pewnego Anglika, który nie dawno z tamtych krajów powrócił: »Rzeczą uwagi godną jest to, że jeografija Chińskiego Państwa od czasu zniesienia tamże zakonu Jezuitów, jeszcze w niczém nieodmienną została, i że nawet dziełom, które w Chinach wychodzą, w téj mierze bynajmniéj zaufać nie można. Za wzór jeograficznej wiadomości Chińczyków przytaczamy tę okoliczność, iż na mapie ułożonéj z rozkazu cesarza 1837 r. przedstawione są Afryka, tudzież Rossyja i Anglija jako zupełnie zbliżone do Niebieskiego-Państwa, i tylko wązką odnogą morską od niego oddzielone. — Wiadomości statystyczne w tym kraju są także bardzo niedokładne. Jednakże jeżeli weźmiemy za prawdę obliczenie ludności, które w r. 1834 na rozkaz cesarza przedsięwzięto, znajdziemy w Chinach 361 milijonów mieszkańców, a zatém trzecią część ludności znajdującej się na całéj kuli ziemskiéj. — Książki chińskie w stosunku do skąpéj swéj osnowy, i lichéj zapłaty, jaką artyści i autorowie w tym kraju pobierają, są bardzo drogie. Chińskie drukarnie w porównaniu z europejskiemi, znajdują się jeszcze w kolébce. Jeden tylko sposób drukowania stereotypami jest tam dotychczas w używaniu. — Z pomiędzy wielu zwierząt tameczuych, o których w Europie nie jedne bajkę rozsiewają, zasługuje tak zwane zwierzę piżmowe (*Moschus moschifera*) na wspomnienie. Żyje ono po największej części w Tybecie, Tartaryi zachodniéj i w prowincyjach do Chin przyległych; jestto pewny rodzaj antylopy wielkości świni. Głowę ma bardzo małą, członki delikatne, ale nié ma ogona. Dwa zagięte kły wyskakują mu z górnéj szczeki, i okryte jest długą do jeża podobną szczecią. Piżmo formuje się w osobnym woreczku, znajdującym się blizko pępka u samca. W Tybecie uważają to zwierzę za własność państwa, i tylko za szczególném pozwoleniem na nie polować można. Lubi ono klimat zimny, ponieważ tam łatwiéj przed myśliwcem ukryć się może. Chciawszy otrzymać piżmo, należy gdy zwierzę jeszcze jest żywe, z wielką troskliwością zamknąć woreczek, albowiem ciało wciąga w siebie piżmo, które po śmierci zwierza, żadnego już nie wydaje zapachu. — Podobnież zasługuje na uwagę duży kruk, *rybitw* nazwany, którego w domu z równą łatwością jak sokoła wychować można. Skoro nadmieniony kruk dostatecznie urośnie, tak, że go już do łowienia ryb użyć można, wtedy wsadza się mu na szyję pierścień żelazny, aby nie mógł połknąć swojego łupu, i aby za każdą razą przyniósł go swemu panu. Mieszkańcy tamtejsi żywią takich kruków siekanemi ryb wnętrznościami.

Wyimek z podróży po Abissynii. Pasmo gór pomiędzy Eilet i Kadogeną pokryte jest gęstemi lasy, w których rosną cedry, tamaryndy i dzikie drzewa cytrynowe. Kocha się tam bardzo aloes i kaktus w najrozmaitszym gatunku. Bujna trawa wznosi się do nadzwyczajnej wysokości, jednakże więdnieje i usycha, ponieważ nikt jéj nie kosi. W pięknych tych górach znajdziesz wszędzie dzikie cytryny i pomarańcze, które pomimo gorzkości swojéj, są ulubioną potrawą ludu. Botanik mógłby tu do swojego zielnika wielkie uzbierać plony, albowiem domyślać się można, iż na tych górach i w głębokich dolinach jest mnóstwo roślin nieznanych. Jednakże wszystkie rosną tak gęsto i tak krzewisto jedna przy drugiéj, iż pomiędzy nie zaledwo przedrzéć się można. W dolinach nawet także sama jak na górach znajduje się roślinność. Na wierzchołkach gór zmienia się charakter wegetacyi, pomału znikają pod-zwrotnikowe rośliny, wysokie drzewa cytrynowe i tamaryndy, a miejsce ich zajmuje cedr olbrzymi, który im wyżéj w górę, tém bardziéj staje się mniejszym, a nareszcie jak karzeł klęsnie. Atoli aloes i kaktus w najrozmaitszych kształtach, nie giną nawet na najwyższych gór szczytach. Mianowicie ten ostatni zajmuje tak szerokie przestrzenie, iż przez nie drogę znaleźć trudno. Rozlewa on nieprzyjemny, odrażający zapach, a krajowcy nie ważą się przepędzać nocy w owych miejscach, które kaktusem są zarosłe. W górach połdniowych Aigenty chodzą słonie stadami. Miejsca, w których przebywają, łatwo rozeznać można, albowiem pnie grubych, wysokich drzew leżą rozrzucone po ziemi, trawa jest zupełnie wydeptana, a chaszcze z korzeniem wydarte. Jakoż wkrótce postrzegłem w dolinie niemal dwadzieścia słoniów. Te ciemno-szare, nieforemne, olbrzymie massy poruszały się w około grupy drzew, i obłamując trąbami gałęzie, z wielkiém smakiem liść z nich ogryzały. Były one nadzwyczajnéj wielkości, miały 18 do 20 stóp wysokości, i sądzę, iż niektóre z nich były jeszcze wyższemi. Jeden tylko słoń mały, mający niemal stóp sześć, postrzegł nas i zdawał się być niespokojnym, podczas gdy drugie obrywając liście, nawet spojrzéć na nas nie raczyły. Powiadano mi, że słoń tylko w czasie gonienia się, albo gdy wielbłąda zobaczy, jest niebezpiecznym. Słonie są zaciętemi wrogami tych spokojnych, niewinnych zwierząt. Wielbłąd zobaczywszy słonia, staje jak nieżywy, zaczyna drżéć na wszystkich członkach i wydaje bez ustanku krzyk przerażenia i trwogi. Niczém go nie zmusisz do ruszenia się z miejsca; obraca on głowę w tył i naprzód, a strach śmiertelny wszystkie członki jego przejmuje. Słoń zaś zobaczywszy wielbłąda uderza nogami o ziemię, podnosi

trąbę i wyprzężywszy ją, z rykiem rzuca się na wielbłąda, a ten zupełnie bezbronny, wyciąga długą szyję i z największą cierpliwością i poddaniem się zbliżenia swojego nieprzyjaciela oczekuje. Ogromnémi, niekształtnémi nogami swemi druzgocze słoń w kilku minutach na drobne kawałki wszystkie członki tego nieszczęśliwego zwiérza. Z początku nie wierzyłem temu opowiadaniu; lecz poźniej sam się przekonałem, iż tym sposobem w okolicy Kolla całe karawany wielbłądów zniszczonémi zostały. Odludnię tę ożywia niezliczone mnóstwo ptaków, okrytych najświetniejszém pierzem, które w czasie polotu tysiącznemi połyskują kolorami, a rozgłośne ich spiewy przerywają grobową, w tych okolicach osiadłą ciszę. Piękny, duży, purpurowego koloru ptak mający głos podobny do fletu, odznacza się między innemi tém, że wcale nie jest pierzchliwy i do siebie przystąpić daje. Nie dziw, że tak ważną rolę grają ptaki w powieściach wschodnich, oneto bowiem przemawiając swoim głosem do człowieka, latają w około niego jak opiekuńcze duchy i wzbudzają w nim uległość, nadzieję i zaufanie. Przypominam sobie czas, gdy po raz piérwszy w Jemen ptaka *bulbul* widziałem, o którym powieści arabskie tak wiele rozprawiają. Persowie i Turcy mają tego ptaka w największém poważaniu i zabicie go, za zbrodnię poczytują. Dziwno mi było, żem go w Abissynii nie widział; lecz lud tamtejszy byłby dla niego za wiele prozaicznym, musiałby on tam zginąć z nudoty. Pewnego razu oddaliwszy się niemal na jednę milę od włości, postrzegliśmy orszak prawie z dwunastu ludzi uzbrojonych. Przewodnik mój i służący zobaczywszy ich, zdjęci przestrachem, w miejscu stanęli. Blednięjąc i drżąc na całem ciele, zaledwo się na nogach utrzymać mogli, z tego powodu oparli się na osłach, które ładunek mój dźwigały. Nie mógłem pojąć dla czego tak mocno byli przestraszeni. W tém jeden z przybyłego orszaku przystąpił ku mnie, i obejrzawszy mnie z uwagą dał znak na swoich, aby się oddalili. Poczém przemówiwszy kilka słów, których nie rozumiałem, do mego przewodnika, oddalił się także za nimi; lecz przewodnik był nazbyt przestraszony i nic mu nie odpowiedział. Dopiero gdy ten orszak zniknął, opamiętali się moi ludzie. Z żywej rozmowy i pośpiesznego ich kroku poznałem, żeśmy byli w widocznem niebezpieczeństwie. Przybywszy do Nabisz-Adi dowiedziałem się, żeśmy spotkali najsłynniejszych zbójców w całéj prowincyi, którzy zapewne na widok gindżału i pistoletów za moim pasem, rzucić się na nas nie śmieli. W innych miejscach miałem także z rozbójnikami do czynienia, lecz zawszem się przekonał, że dobrze uzbrojony i odważny człowiek, przez bandy rozbójnicze spokojnie się przeprawić może. Najbardziéj nie ważą się oni uderzyć na białego człowieka. Być może, iż kolor biały jest przyczyną téj trwogi; albowiem nagłe zjawienie się białego człowieka w okolicach, w których przedtém nigdy czegoś podobnego nie widziano, gdzie ludzie może nawet nie wiedzą, że biali na świecie się znajdują, jest może tak złowieszczym i przerażającym widokiem dla czarnych ludzi, jak nagłe pojawienie się Murzyna w naszych krajach, od któregoby w piérwszéj chwili jak od czarta uciekano.

Rozbitek. Dnia 12. stycznia wieczorem, podczas gdy statek parowy *Shearwater* płynął z Liwerpola do Dublina, jedna z osób znajdujących się na pokładzie postrzegła, iż jakiś chłopczyk na desce po morzu płynął. Kapitan, któremu o tém doniesiono, puścił się za nim, a gdy statek parowy przybliżył się do deski, dwaj majtkowie skoczywszy w morze ujęli chłopczyka pod ramiona i tym sposobem wybawili go od nieuchronnej zguby. Biédny chłopczyk posiliwszy się opowiadał, iż rodzice jego zatonęli na jednym z amerykańskich statków parowych, który się w owym dniu podczas wielkiéj burzy o skały Liwerpola rozbił. Chłopczyna ten, mający dopiero lat pięć, ujął się był podczas burzy przypadkiem deski i pływał na niéj przez sześć godzin po morzu, za nim go spostrzeżono.

Oszukaństwo. O kilka mil od Vendôme schwytała policyja dwóch więźniów galerowych, którzy w ubiorze siostr miłosierdzia pod pozorem jałmużny publiczność oszukiwali. W kilku miejscach powiodła się im ta mistyfikacyjna spekulacyja. W Beauchêne odwidzili nawet księdza proboszcza, który na własne ich żądanie wysłuchał ich spowiedzi i dawszy im ś. komunię przyjmował ich przez dni trzy w swoim domu. Przybywszy do Vandôme wykonywali i w tém mieście swoje karygodne oszukaństwo z najlepszym skutkiem. Między innemi od pewnego dobroczyńcy otrzymali 300 frank. dla swojego klasztoru.

Fortepian królowéj Maryi Antoniny. Dnia 20. sierpnia 1792 r. pewien puszkarz gwardyi narodowéj z licznymi swoimi towarzyszami zdobył zamek Tuileryjów w Paryżu. Wszedłszy do sali muzycznéj zastał w niéj już mnóstwo swych towarzyszy, którzy z wielką pracą fortepian królowéj Maryi Antoniny przez okno wyrzucić usiłowali. Zapaleńcy podniosłszy ten instrument, postawili na oknie, i jeszcze go tylko spuścić wypadało, aby w drobne kawałki się roztrzaskał. Szczęściem, iż puszkarz krzyknął zawczasu: »Wstrzymajcie się!« — »A toż dla czego!« odparli zaciekli zuchwalcy, »chcesz może ochronić to pudło, gdyśmy już wszystkie inne meble przez okno powyrzucali?« — »Pudło to,« odrzekł puszkarz, »zawiera bardzo kosztowne przymioty, o których wy nie wiécie. Jest ono harmonijne i mieści w sobie nasze piosnki patryjotyczne. Postawcie je tylko na swojém miejscu, a spodziewam się, iż głos jego niezawodnie względy wasze pozyska.« Jakoż w saméj rzeczy postawiono znowu fortepian na swojém miejscu; gdy puszkarz zagrał na nim *Marseillaise:* »*ça ira*« i inne piosnki, zachwycona zgraja skacząc w uniesieniu radości, śpiewać zaczęła. Byłto okropny widok; pośród tych zaciekłych i krwią zbryzganych fanatyków znajdowała się także jedna kobiéta, straszna megera. Cóżkolwiek bądź, zapaleńcy odstąpili swego zamiaru i nie śmieli targnąć się na fortepian, który pieśniom narodowym tak pięknym wtórzył głosem. Cała zgraja podziwiając harmonijne tony jego, oddała mu powszechne uwielbienie. Jakoż poźniej powiodło się puszkarzowi wyprowadzić zgraję z sali. Puszkarz zamknąwszy fortepian rzucił klucz do ogrodu. Tym sposobem ocalał fortepian Maryi Antoniny, a Doubiel, który go nastrajał, zostawszy poźniej kapitanem, ze łzami w oczach nabył go 1814 r. na licytacyi mebiów królowéj Hortenzyi.

Uczynek dobry, ale zapóźny. »*Bis dat, qui cito dat*« godziłoby się przemówić do mieszkańców Paryża. Najnowsze dzienniki téj stolicy rozwodzą się nad wypadkiem, o którymby inne bogate miasta, zamiast chełpić się z niego, ze wstydu zamilczały. Dzienniki te ponoszą: »Wczoraj w południe postrzeżono, iż jakaś kobiéta z niemowlęciem na ręku na bruk upadła, a gdy jéj w pobliskim domu udzielono pomocy, dowiedziano się, iż ta biédna kobiéta z głodu bliska śmierci była. W przeciągu kilka minut znalazły się osoby tak dobroczynne, że jéj na przyszłość wyżywienie zabezpieczyły. Mianowicie jedna znakomita dama oddała jéj znaczną kwotę pieniędzy, którą w sakiewce przy sobie miała.«

Sprostowanie. W przeszł. Nr. 20. Rozmait. na str 156, w przedz. 1széj, wier. 21m od góry zamiast: *po między włościanami*, powinno być: **włościami**.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*